

GUILLAUME MUSSO

Jak można być jednocześnie
martwym i żywym?

NIEZNAJOMA Z SEKWANY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
L'INCONNUE DE LA SEINE

Copyright © Calmann-Lévy 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Joanna Prądzyńska 2022

Redakcja: Dorota Jakubowska

Projekt graficzny serii: Kasia Mieszka

Opracowanie graficzne okładki: Justyna Nawrocka

Zdjęcie na okładce: © Natasza Fiedotjew/Trevillion Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Wieża z zegarem

*W życiu każdego przychodzi
moment, gdy człowiek musi
sam, ostatecznie i nieodwołalnie,
zdecydować o swoim losie.*

Georges Simenon

1

Paryż

– Tym razem, Roxane, naraziła pani nas wszystkich: wydział, kolegów, mnie... Wszystkich!

Nieoznakowany samochód policyjny wjechał z avenue de la Grande-Armée na place de l'Étoile. Odkąd opuścili Nanterre, Sorbier był wściekły; teraz odzyskał trochę spokoju, ale wciąż zaciskał palce na kierownicy.

– Jeśli prasa dowie się, co pani zrobiła, nawet nadinspektor Charbonnel będzie miał problemy! – rzucił z ponurym wyrazem twarzy.

Roxane Montchrestien milczała. Siedziała na miejscu pasażera i patrzyła na szybę, po której spływały krople

deszczu. Pod zaniesionym chmurami niebem Paryż wyglądał smętnie; od początku miesiąca nie było ani jednego słonecznego dnia.

W samochodzie unosił się zapach wilgoci. Roxane pochyliła się i maksymalnie zwiększyła nawiew ciepłego powietrza. Zmrużyła oczy. Ciężka masa Łuku Triumfalnego była w deszczu prawie niewidoczna. Roxane udzielił się niewesoły nastrój. Przypomniała sobie niedawne manifestacje, podczas których radykalny odłam „żółtych kamizelek” zdewastował wnętrze i fasadę łuku. Sceny przemocy i wandalizmu obiegły świat, podsycając i tak już niezdrową atmosferę. No cóż, od tamtej pory niewiele się zmieniło.

– Krótko mówiąc, cały ten burdel jest przez panią! – zakończył Sorbier, redukując biegi przy zjeździe w avenue Marceau.

Roxane siedziała w milczeniu, wciśnięta w oparcie fotela. Szanowała Sorbiera, szefa Krajowego Wydziału do spraw Poszukiwania Zbiegów. Problemem była ona. Od wielu miesięcy czuła, że jest w sytuacji bez wyjścia. Przetarła oczy. Musi odejść z policji. Tylko w ten sposób zdoła poradzić sobie z depresją.

– Zamierzam podać się do dymisji, szefie – rzuciła i wyprostowała się na siedzeniu. – Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Wypowiedziawszy te słowa, poczuła się dużo lepiej. Od lat całkowicie poświęcała się pracy, której obecnie

nie była w stanie rzetelnie wykonywać. Podobnie jak wielu jej kolegów, z czasem zaczęła popadać w coraz większe przygnębienie. We Francji, zwłaszcza w regionie paryskim, ludzie nienawidzili policji.

„Wystrzelajcie się sami, niech was szlag trafi!”, przypomniały jej się hasła wykrzykiwane w stronę policjantów podczas manifestacji. Westchnęła. Tak, muszę odejść. Najwyższy czas, pomyślała.

Ruszyła śmiercionośna machina i ludzie zaczęli nienawidzić swoich obrońców. Dochodziło do incydentów w dzielnicach blokowisk, oblegano komisariaty, napadano na funkcjonariuszy podczas demonstracji, nawet strzelano do nich z moździerz w centrum Paryża. Dzieci policjantów szły do szkoły ze strachem, rodziny się rozpadały. Z tygodnia na tydzień, po każdej sobotniej manifestacji, media z obrzydliwym upodobaniem nazywały policjantów faszystami.

„Pozabijajcie się w końcu sami... Pozabijajcie się!”

Dobry moment, żeby odejść, myślała Roxane. Na szczęście nic nie stało na przeszkodzie, nie miała dzieci, kredytów do spłacania ani zasądzonych alimentów. Opuszczi nie tylko policję, ale też Francję. Znajdzie sobie jakąś zaciszną enklawę – nie za daleko – z której będzie mogła z bólem obserwować koniec tego cholernego kraju.

– Dziś wieczorem zobaczy pan na biurku moją dymisję, szefie – obiecała.

Sorbier pokręcił głową.

– Nie ma mowy, Roxane! Nie wykręci się pani tak łatwo!

Jechali nabrzeżem Sekwany w kierunku place de la Concorde. Po raz pierwszy nie starała się ukryć swojego złego humoru.

– Może mi pan przynajmniej powiedzieć, dokąd jedziemy? – spytała zrzędliwie.

– Na wieś.

Prawie się uśmiechnęła. Wieś oznaczała zieleń, łagodny wietrzyk, pola jak okiem sięgnąć, dojrzałe kłosa zboża falujące w słońcu, dzwonki krów na pastwisku. Rzeczywistość zupełnie inną niż ta, którą znała z Paryża: choroego, brudnego, apatycznego miasta, duszącego się w zanieczyszczonym powietrzu. I ten smutek, ten smutek...

Wjechali na most prowadzący na lewy brzeg Sekwany.

– Oto plan, Roxane – odezwał się Sorbier. – Charbonnel znalazł dla pani spokojne miejsce, żeby wszyscy mieli czas zapomnieć.

– Więc jestem przeniesiona?

– Tak, tymczasowo.

Nadinspektor François Charbonnel stał o stopień wyżej w hierarchii administracyjnej, kierował Centralnym Biurem do Walki z Przystępczością Zorganizowaną.

– A moi ludzie?

– Chwilowo zastąpi panią porucznik Botsaris. Ma pani szczęście. To szansa, żeby wrócić. A potem, jeśli wciąż będzie pani chciała odejść, droga wolna.

Roxane poczuła palącą zgagę. Dotknęła dłonią miejsca pod mostkiem.

– A co konkretnie mam robić? – spytała.

2

– Słyszała pani o ASN?

– Nie.

– Szczerze mówiąc, ja też nie. Do dzisiejszego ranka. Sorbier miał chociaż tyle przyzwoitości, żeby nie owijać w bawełnę.

Wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody z przedniej szyby. Byli już na lewym brzegu Sekwany. Samochód stanął w korku na boulevard Saint-Germain.

– ASN, Agencję do spraw Niekonwencjonalnych, utworzono w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, za rządów Pompidou – wyjaśnił. – Podlega bezpośrednio prefekturze. Na początku miała się zajmować sprawami, powiedzmy, dziwnymi, których policja kryminalna nie umiała wyjaśnić racjonalnie.

– Co to znaczy „dziwnymi”?

– Takimi, jakie kojarzy się ze zjawiskami nadprzyrodzonymi.

– To żart?!

– Nie, absolutnie nie. Ale trzeba wziąć pod uwagę czasy, w jakich powstała ta agencja – odparł Sorbier. –

Spółeczeństwo odkrywało to, co nazywano wówczas „rzeczywistością paranormalną”. Badano sprawy niedające się wyjaśnić naukowo, ludzie pasjonowali się kosmitami, w Tuluzie utworzono GEIPAN*...

– Dlaczego w ogóle się o tym nie mówi?

Sorbier wzruszył ramionami.

– Można znaleźć kilka artykułów na ten temat w prasie z tamtego okresu. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w ASN pracowało może dziesięć osób. Ale rządy socjalistów i ewolucja społeczeństwa zmieniły profil agencji. Zaczęto odsyłać do niej policjantów wyczerpanych psychicznie albo takich, których trzeba było chwilowo odsunąć na boczny tor.

Roxane słyszała kiedyś o ANAS Le Courbat, ośrodku dla funkcjonariuszy z oddziałów prewencji. Przyjmowano tam policjantów, którzy popadli w alkoholizm, cierpiących na depresję lub wypalonych zawodowo. Ale po raz pierwszy spotkała się z nazwą ASN.

– Z czasem ASN przeniesiono w inne miejsce i liczba pracowników szybko zmalała. Dziś to tylko pozycja w księgowości, w budżecie, która zresztą zniknie w czerwcu. Będzie pani najprawdopodobniej ostatnią zatrudnioną tam policjantką.

* Groupe d'Études et d'Informations sur les Phénomènes Aérospatiaux Non Identifiés – jednostka francuskiej agencji kosmicznej CNES, której zadaniem jest badanie niezidentyfikowanych zjawisk lotniczych i udostępnianie wyników badań opinii publicznej.

– Nie mógł pan znaleźć dla mnie czegoś lepszego?

– Myślę, że nie jest pani w pozycji do negocjacji, Roxane – oświadczył Sorbier. – Poza tym przed chwilą mówiła pani o dymisji, więc czym się pani przejmuje?

Skręcił w prawo w rue du Bac. Roxane wyjrzała przez szybę. Grenelle, Verneuil, Varenne... W dzielnicy Saint-Thomas-d'Aquin spędziła dzieciństwo. Chodziła do szkoły tu niedaleko, do École Sainte-Clotilde; ojciec, wojskowy, pracował w Hôtel de Brienne, w Ministerstwie Obrony Narodowej. Mieszkali przy rue Casimir-Perier. Dzielnica Saint-Thomas-d'Aquin była jak Saint-Germain-des-Prés bez turystów i snobów. Zaskoczyła ją tylko, że nagle się tu znalazła. Pojawiły się niewyraźne, ale przyjemne wspomnienia: obłany słońcem śliczny parkiet, sztukaterie w kształcie liści akantu pod sufitem, kryształowy dźwięk klawiszy starego Steinwaya, na kominku brązowy kot kamerdyner – rzeźba Giacomettiego – prężył się, patrząc zaczepnie.

Wściekły odgłos klaksonu taksówki przywrócił ją do rzeczywistości.

– Ilu będę miała ludzi?

– Nikogo. Mówiłem już, w agencji od lat nie ma nic do roboty. Ostatnio pracowała tam jedna osoba, komisarz Marc Batailley.

Roxane zmarszczyła brwi. Gdzieś już słyszała to nazwisko, ale nie umiała sobie przypomnieć gdzie.

Sorbier pospieszył jej z pomocą.

– Batailley pracował w dochodzeniówce. Miał swoje pięć minut w latach dziewięćdziesiątych, gdy jego oddział w Marsylii zidentyfikował i zatrzymał Ogrodnika, jednego z pierwszych francuskich seryjnych zabójców.

– Ogrodnika?

– Facet obcinał sekatorem wszystkie wystające części ciała ofiary: palce u rąk i u nóg, uszy, penisa...

– Oryginalne...

– Po tym wyczynie Batailley został przeniesiony z honorami do dochodzeniówki w Komendzie Policji Regionalnej, przy quai des Orfèvres numer trzydzieści sześć, ale nie sprawdził się tam, nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Powodem były chyba kłopoty rodzinne. Stracił dziecko i żona od niego odeszła. Pod koniec miał problemy ze zdrowiem, no i dlatego tu wylądował.

– Przeszedł na emeryturę?

– Jeszcze nie, ale wczoraj w nocy miał atak serca. Charbonnel wykorzystał tę informację i wsadził panią na jego miejsce.

Sorbier włączył światła ostrzegawcze i zaparkował przed bramą parku przy rue du Bac pod numerem 105. Przestało padać. Roxane wysiadła z samochodu. Ubranie, włosy, mózg – wszystko miała przemoczone. Sorbier też wysiadł. Oparł się o maskę i zapalił papierosa.

Zerwał się wiatr. Wreszcie było czym oddychać. Chmury nad parkiem przerzedziły się i odsłoniły kawałek błękitnego nieba. Od razu pojawiły się dzieci i z radosnym

krzykiem pobiegły na huśtawki i zjeżdżalnie. Roxane miała dużo wspomnień z tego miejsca: lody waniliowo-truskawkowe w Bac à Glaces, wizyty z mamą w Bon Marché i w Conran Shop, nieco dalej mieszkanie Romaina Gary’ego, które mijala, gdy chodziła do liceum... Kierowana ciekawością, wypatrywała otwartej bramy, czekając, aż pojawią się w niej duchy Romaina, Jean Seberg i ich syna Alexandre’a Diega.

– Oto pani biuro! – Sorbier wskazał palcem niebo.

Roxane podniosła głowę. W pierwszej chwili nie zrozumiała, ale potem dostrzegła wieżę z zegarem, której nigdy wcześniej nie zauważyła. Wieża znajdowała się w głębi ulicy i wystawała ponad okoliczne dachy.

– Budynek powstał w latach dwudziestych dwudziestego wieku – zaczął Sorbier profesorskim tonem. – Był aneksem do sklepu Bon Marché, zaprojektowanym przez architekta Louisa-Hippolyte’a Boileau. Prefektura zaanektowała tę wieżę na początku lat dziewięćdziesiątych, ale w tej chwili ją sprzedaje.

Roxane podeszła do wielkiej bramy pomalowanej na niebiesko.

– Zostawiam cię samą – rzucił Sorbier, podając jej klucze. – Przede wszystkim żadnych głupstw, Roxane!

– Jaki jest kod?

– Trzydzieści dwaście zero siedem. Data utworzenia Brygad Tygrysa. I „B” jak Brygada.

– Albo jak moje nowe biuro... – Roxane westchnęła.

– Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy. Ma pani dać o sobie zapomnieć. Nie zawsze będę mógł nad panią czuwać i wyciągać panią z opresji.

3

Wieża była prawie niewidoczna od strony ulicy, za to zaraz po przejściu bramy ukazywała się w całym majestacie. Wznosiła się z gracją w głębi zadrzewionego podwórka, wciśnięta między dwa nieciekawe budynki. Na szczycie tej solidnej konstrukcji, przypominającej basztę obronną na tle paryskiego nieba, widniały wielkie tarcze zegara. Prawdziwa twierdza w samym środku siódmej dzielnicy.

Roxane przeszła przez brukowane podwórko do wejścia, przy którym stał zaparkowany jaskrawoczerwony skuter. Wsunęła jeden z kluczy od Sorbiera do zamka w masywnych drzwiach z lakierowanego drewna i pchnęła je. Wnętrze wieży było jak oświetlona studnia; promienie słońca wpadały przez witraże w oknach, zalewając trzy piętra ciepłym światłem. Już na parterze widać było charakterystyczne cechy stylu, w jakim zaprojektowano budynek: czerwona cegła, dębowy parkiet, stalowa struktura z nitowanych belek à la Gustave Eiffel.

Cztery poziomy były połączone kręconymi schodami z kutego żelaza. Roxane weszła na stopnie i spojrzała w górę. Było ciepło, przyjemnie. Słyszała ciche buczenie systemu ogrzewania. Z góry dochodziła muzyka forte-

pianowa, *Impromptu* Schuberta. Jedna z melodii jej dzieciństwa.

Dotarła na pierwszy poziom. Piętro było podzielone na dwie części. Na ścianach po jednej stronie wisiały półki – od podłogi do sufitu. Stało tam też pełno metalowych szafek, kartonowe pudła na archiwa, kserokopiarka, faks, a nawet terminal Minitel. Po drugiej stronie Roxane spostrzegła aneks kuchenny z blatem z surowego drewna, dalej łazienkę z prysznicem.

Obok kserokopiarki stała tradycyjnie udekorowana choinka, pod którą wylegiwał się na kartkach papieru kot syberyjski. Zauważywszy Roxane, miauknął i uciekł na górę.

– No, chodź tu, chodź! – zawołała, dogoniła go na schodach i schyliła się, żeby pogłaskać go po brzuchu. Kot był umięśniony, krępy, miał przepiękną srebrzystą sierść i pyszczek jak z komiksu.

– Nazywa się Poutine – usłyszała za plecami.

Zaskoczona, odwróciła się, kładąc rękę na kolbie pistoletu wsuniętego do kabury. Na drugim piętrze, pod oknem, stała młoda, może dwudziestopięcioletnia kobieta z afro. Patrzyła na Roxane szmaragdowymi oczami zza szkieł w rogowych oprawkach i uśmiechała się promiennie. Miała matową cerę i przerwę między przednimi zębami.

– Kim pani jest, do cholery? – Roxane się zdenerwowała.

– Valentine Diakité – przedstawiła się spokojnie młoda kobieta. – Studiuję na Sorbonie.

– Co pani tu robi?

– Piszę doktorat na temat Agencji do spraw Niekonwencjonalnych.

Roxane westchnęła.

– Kto panią tu wpuścił?

– Mam pozwolenie od komisarza Batailleya. Już od sześciu miesięcy segreguję i układam dokumenty. Szkoda, że pani nie widziała, jak to wyglądało na początku! Totalny chaos!

Roxane popatrzyła na doktorantkę, która poruszała się pomiędzy kartonowymi pudłami tak swobodnie jak księżniczka we własnym pałacu. Czarne rajstopy, aksamitna spódnica, golf i rude botki... Wyglądała jak współczesna wersja Emmy Peel.

– A kim pani jest?

– Kapitan Roxane Montchrestien. Jestem policjantką.

– To pani zastępuje Marca Batailleya?

– Można tak powiedzieć.

– Jak on się czuje?

– Nie wiem.

– Biedak. To straszne, co mu się przytrafiło. Od rana myślałam tylko o tym. To ja go znalazłam.

– Miał atak serca?

– Nie sądzę, żeby to był atak serca. Myślę, że spadł ze schodów, są zdradliwe – powiedziała doktorantka, wskazując na krętą żelazną konstrukcję.

Roxane weszła na górę, do biura Batailleya. Było to niezwykle pomieszczenie: miało co najmniej sześć metrów wysokości, sufit wspierał się na stalowych nitowanych belkach; stały tu duża pikowana kanapa ze skóry i wielkie dębowe biurko w stylu Jeana Prouvé. Wystrój wnętrza i czerwone cegły na ścianach tworzyły osobliwy klimat, jakby w nowojorskim lofcie założono tradycyjny angielski klub. Ale widok z okien powodował zawrót głowy, tak był wspaniały! Po zachodniej stronie wieża Eiffla i kościół Inwalidów. Na północy wzgórze Montmartre z bazyliką Sacré-Coeur. Na południu Ogród Luksemburski i obrzydliwy wieżowiec Montparnasse. Na wschodzie katedra Notre Dame, wciąż nie do końca odnowiona po pożarze. Był to upajający widok: z wysoka, z dala od zgiełku.

4

Valentine Diakité urządziła sobie biuro piętro niżej. Wyglądała jak rozsądna bibliotekarka, ale biło od niej niepokojące światło. Roxane poczuła się nieswojo.

– Opowiedz mi, jak Marc Bataille organizował sobie czas – poprosiła, zwracając się do młodej kobiety na ty.

– Komisarz pracował trochę na zwolnionych obrotach – powiedziała Valentine. – Kiedy pojawiłam się tu pół roku temu, właśnie miał nawrót raka płuc. Był zmęczony, ale miły, i zawsze mi dobrze radził.

– Od kiedy agencja przestała działać?

Valentine, zadowolona, że wreszcie może zrobić coś konkretnego, w tym przypadku udzielić wyjaśnień zagubionej policjantce, zaczęła wykład:

– Na początku, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, ASN prowadziła naprawdę niesamowite sprawy. Badano zjawiska paranormalne, telekinezę, psychokinezę oraz doświadczenia z pogranicza śmierci, choć wówczas jeszcze ich tak nie nazywano. Wydział otrzymywał setki świadectw z całej Francji.

Valentine wskazała ręką sterty kartonowych pudeł.

– Było tu wszystko: duchy, białe damy, telepatia... no i ufologia, wówczas bardzo popularna. Jeśli kiedyś zaciekawia panią materiały z tamtych czasów, przekona się pani, że to prawie Archiwum X.

– A obecnie?

Doktorantka wykrzywiła usta.

– Czasem dostajemy listy: piszą do nas jacyś wariaci, którzy myślą, że światem rządzą reptilianie, że Bill Gates stworzył wirusa, żeby zmniejszyć liczbę ludzi na świecie, a francuski rząd rozprowadza go za pomocą sieci pięć G i liczników energii elektrycznej Linky.

Roxane przetarła oczy. Miała ochotę zostać sama, zasnąć, wyłączyć się, przestać myśleć.

– Nie możesz tu zostać, Valentine...

– Dlaczego? Pan komisarz zgodził się i...

– Tak, ale teraz ja jestem szefem. Oddział policji to nie jest biblioteka uniwersytecka.

– Mogłabym się przydać.

– Nie wiem do czego. Masz dzień na spakowanie się. I nie zapomnij zabrać kota.

Valentine wzruszyła ramionami.

– To nie jest mój kot. Ani też Marca Batailleya. Był tu przed nami, natrafiłam na wzmiankę o nim w archiwach. Poutine pojawił się w Agencji w dwa tysiące drugim roku, osiągnął więc wiek emerytalny.

Speszona Roxane odwróciła się i wbiegła na ostatnie piętro. Widoczne przez okno żeliwne tarcze zegara sprawiały, że świat wokół jawił się jako dziwna, nierealna bajka. Miała wrażenie, że znalazła się w gabinecie osobliwości. W biurze Batailleya poczuła się tak, jakby cofnęła się w czasie o trzydzieści lat. Żadnych komputerów, a aparat telefoniczny przypominał ten, który pamiętała z czasów młodości, z domu rodziców.

Obok słuchawki migąła czerwona dioda. Zaciekawiona, wcisnęła guzik i włączył się głośnik. Wysłuchiwała wiadomości, według zegara w telefonie nagranej tego samego dnia o trzynastej dziesiątej.

Marc, tu znów Catherine Aumonier. Muszę się z tobą skontaktować w związku z informacją, którą zostawiłam ci rano. Proszę, oddzwoni!

Ponieważ nie było innych wiadomości, Roxane odsluchiwała tę nagraną o siódmej czterdzieści sześć.

Dzień dobry, Marc, mówi Catherine Aumonier, dyrektorka szpitala psychiatrycznego przy prefekturze. Dzwonię do ciebie, bo mamy dziwną sprawę. Wczoraj rano przywieziono młodą kobietę, która straciła pamięć.

Wodne Pogotowie Ratunkowe wyловиło ją nagą z Sekwany. Nie mam twojego maila, wysyłam ci dokumenty faksem. Zadzwon, powiedz, czy ją znasz. Do usłyszenia.

Zaintrygowana Roxane jeszcze raz odsłuchiwała wiadomość. Jeśli Batailley ją odebrał – a migająca dioda sugerowała, że tak – musiał to zrobić zaledwie kilka minut przed swoim nieszczęśliwym upadkiem.

Poczuła rosnącą ekscytację. Wszystko, co miało jakikolwiek związek z policyjnym szpitalem psychiatrycznym, którego działalność okrywała tajemnica, zawsze ją interesowało. Catherine Aumonier powiedziała, że wysłała Batailleyowi faks. Roxane przerzuciła papiery, książki i pisma walające się na biurku, ale nic nie znalazła. Przypomniała sobie, że faks stoi niedaleko kserokopiarki. Zeszła na pierwsze piętro. Nadąsana Valentine Diakité siedziała po turecku w kącie i segregowała dokumenty.

– Odebrałaś dzisiaj jakiś faks? – spytała Roxane.

Młoda kobieta pokręciła głową.

W pojemniku na faksy nie było żadnego dokumentu. Roxane wyobraziła sobie, jak Marc Batailley przychodzi do biura wcześniej, wysłuchuje wiadomości od Catherine Aumonier, schodzi po faks i wraca na górę. Wtedy musiał spaść ze schodów. Ale gdzie się podział ten faks? Zajrzała pod schody, potem pod meble i metalowe szafki. Nic. Wiedziona intuicją, podeszła do choinki, pod którą kot zrobił sobie legowisko z... No właśnie, ze zmiętego faksu od Catherine Aumonier.

Podniosła dwie zgniecione kartki i zaczęła je wygładzać. Poutine częściowo je podarł, ale łatwo można było odczytać tekst. Tak jak powiedziała Catherine przez telefon, był to raport z przyjęcia do szpitala psychiatrycznego pacjentki z zaburzeniami pamięci. Tekst był lakoniczny, ale zdjęcie młodej kobiety intrygujące: delikatna zalękniona twarz, włosy do ramion.

Roxane przez chwilę wahała się, czy nie zadzwonić do Catherine Aumonier. Potem postanowiła po prostu ją odwiedzić. Już włożyła kurtkę, gdy przypomniała sobie, że przecież nie ma służbowego auta. Jej peugeot został w Nanterre i pewnie szybko go nie odzyska.

Na biurku Valentine zobaczyła brązowo-żółty kask bez osłony, z paskiem w szachownicę.

– To twój skuter tam, na dole? – spytała, zakładając kask. – Możesz mi dać kluczyki?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).